
Bohdan Kurowski

Wspomnienia z dzieciństwa (cz. 3)

Pewnego ranka w Torokaniach, bardzo wcześnie, obudziło nas głośne pukanie. Ki diabeł? Otaczała nas wieś, wokół niej brzeziny i bagna. Może to jakieś duszki z bagien? Wiadomo przecież, że na bagnach rozmaite duszki się błąkają... Matka zerwała się pierwsza, podeszła do drzwi. Wtargnęli trzej mężczyźni, kilku innych tłoczyło się w przed-sionku. Był między nimi *krasnoarmiejec* oraz funkcjonariusz NKWD, co można było poznać po niebieskim otoku na jego czapce. Nasi znajomi!

— *Tak było pożałował, Zofia Czesławowna...*

Do matki dołączyła babcia Lucyna.

— *Tako pożałował, Lucyna... Budietie pieresieleny na nowoje miasto prażiwanina...*

Coś tam mówili o dziadku, że niby już odprawiony.

— *Pajedietie uwidiet'sa sa swaim atom, a babuszka sa swaim mužom.*

Mój brat Zbyszek i ja też pozrywaliśmy się z łózek.

— *A wy riebiata, chatitie uwidiet' swojewe dzieduszku?*

Oczywiście, bardzo chcieliśmy zobaczyć dziadka. Tamci na to:

— *No, eta pajedietie k swajemue dieduszkie...* — i dodali: — *U was pol czasa na pri-gatawlenie.*

Był siedemnasty kwietnia 1940 roku. Przesiedlano nas. Dano nam *pol czasa*, pół godziny – a może *czas*, godzinę – na spakowanie tego, co niezbędne. Zaczęła się bieganina, pakowanie. Kobiety mają przecież te swoje ciuchy. Funkcjonariusze rozpoczęli rewizję. Patrzyli na przykład, czy nie ma gdzieś broni. Wśród naszych zabawek ujrzeli szabelkę dziecięcą:

— *O, kindża!*

Po chwili znaleźli pistolet-kapiszonowiec:

— *O, pistolet!*

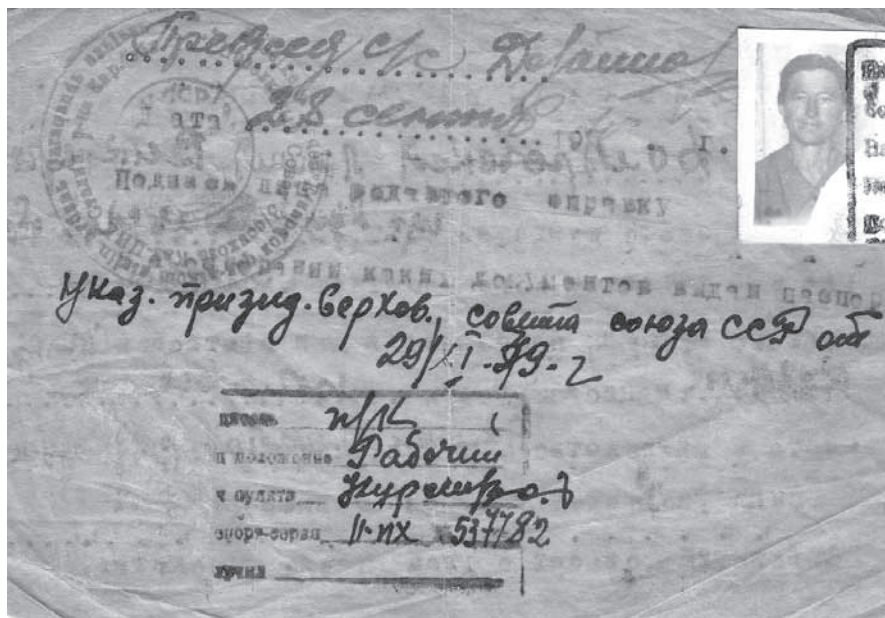
Dyktowali nam, co można, a czego nie można wziąć. Matka pakuje oficerskie buty ojca, takie do konnej jazdy. Zaczyna się spór, czy może te buty wziąć. Funkcjonariusze długo nie chcą wyrazić zgody, ale wreszcie, po wielkich sporach, pozwalają te buty zabrać. Udaje nam się zapakować srebrną tackę ojca z podpisami jego kolegów oraz kompletem srebrnych kieliszków. Dzięki niej w przyszłości kilkakrotnie unikniemy głodu. Następuje długi spór o elegancki neseser ojca. W końcu funkcjonariusze dają pozwolenie na zabranie go. Na skórzanym pokryciu walizeczki spostrzegają jednak wizytówkę *Kapitan Witold Kurowski*.

— Jaki kapitan? — wrzeszczą. — Przecież waszej armii już nie ma! Myśmy ją już raz na zawsze rozbili! U nas żadnych oficerów nie ma!

Stalin rzeczywiście zlikwidował stopnie wojskowe: lejtnantów, kapitanów, pułkowników, generałów. Dopiero potem je przywrócił.

Mija przyznany nam *czas*. Przed domem czeka już podwoda, czyli rodzaj furmanki chłopskiej. Ładujemy się na nią – matka, babcia Lucia, mój brat Zbyszek i ja. Z nami walizy i toboły. Kobiety starały się zabrać jak najwięcej rzeczy, przeczuwając, że im więcej wezmą, tym więcej będą później miały na wymianę na żywność. Teraz wiozą nas do Antopola... a może był to Kobryń? Na stacji widzimy długi pociąg transportowy, wzdłuż którego chodzą uzbrojeni w sztyki *krasnoarmiejcy*, ze szmacianymi *pikielhaubami* na głowach. Ładujemy się do wagonu. To wagon bydłocy, w jego środku jest przejście z dziurą w podłodze. Po obu stronach ustawione są dwupiętrowe drewniane prycze. Ktokolwiek znajduje się w wagonie, włazi na te prycze, aż one całkowicie się wypełniają. Mężczyźni, kobiety, dzieci, dorośli, starcy leżą jeden przy drugim – kilkadziesiąt osób. Jest w wagonie jakiś piecyk, ale rozmontowany, bo jest już kwiecień¹ i na dworze jest ciepło. Pozostawiono jakąś płytę do podgrzewania, coś tam można na niej postawić.

I tak rozpoczęliśmy podróż. W każdym wagonie wybrano starostę, czy starościnę, która reprezentowała ludzi wobec *krasnoarmiejców* na zewnątrz. Po drodze dano nam posiłek. Żarcie wstawiano do wagonu w wiadrze, z którego trzeba było sobie czerpać łyżkami albo czymkolwiek, do garnków, menażek, co było pod ręką, tak żeby starczyło dla wszystkich. Żywiono nas najczęściej *łapszą*, rodzajem grubych jak paluchy klusek z dziurkami w środku, gotowanych w jakiejś rzedzi. W smaku to było okropne, w ogóle nie miało żadnego smaku. Ową *łapszą* raz dziennie wstawiano wagonu. Potem jechało się dalej. Raz partrymy w wiadro i widzimy, że cała *łapsza*



Zesłańczy dokument tożsamości, wydany na *Lucynę Dąbrowską*

się rusza, tak jak ruszają się grube robaki. Podnieśliśmy straszny wrzask. Jakiś funkcjonariusz przyszedł i powiedział: — Nie chcecie, to nie jedzcie.

Zabrali i tyle.

Pierwszą stacją był Mińsk, stolica Białorusi. W czasie postoju wyjrzelśmy ze Zbyszkiem na peron. Stał tam bardzo elegancki, przystojny facet w czarnym mundurze. W tym momencie ktoś chciał nam coś podać z innego wagonu. Żeby ułatwić mu zadanie, krzyczeliśmy przez zakratowane okno: — Po lince! Po lince!

Na to ów funkcjonariusz w czarnym mundurze podskoczył ku nam i wrzasnął: — Nie ma tutaj waszej policji! Myśmy policję rozgromili, już raz na zawsze! Nigdy jej nie będzie!

Sądził najwyraźniej, że wzięliśmy go za policjanta.

Ludzie z reguły mieli ze sobą jakieś zapasy, cokolwiek zdołali wziąć z domu. Było w wagonie kilku *Poleszucków* – z tych zamożniejszych, bo takich deportowano, jako że biedota w owym czasie tryumfowała. Było też kilku Żydów, którzy nie zdołali się poukrywać – ci jednak trzymali się troszkę osobno, również jeśli chodzi o odżywianie. Przeważnie byli to chasydzi, którzy oczywiście żadnej szynki czy tłuszczu wieprzowego nie jedli. Nie wiem, czym oni się żywili. Z nimi nie było komunikacji. Natomiast *Poleszucky* trochę nas w sensie żywności wspomagali.

Za wychodek służyła dziura w podłodze. Oprócz tego od czasu do czasu pociąg



Zesłańcy polscy przed czworakiem w *Kaczyku* (*Zofia wycięła siebie z tego zdjęcia*)

zatrzymywał się gdzieś na odludziu. Wówczas kto mógł, wysypywał się pod wagony, aby załatwić swoje potrzeby. *Krasnoarmiejcy* ustawiali się wokół, trzymając swe cienkie szytki w rękach. Stali tak, dopóki cała procedura nie została zakończona. Pociąg ruszał dalej. Choć jechaliśmy wyjątkowo szybko, podróż trwała kilka tygodni. Mi-jaliśmy Ural, spore kawały Rosji, Syberii, Kazachstanu... Parę tysięcy kilometrów. W Czelabińsku – to już za Uralem – popędzono nas do łaźni. Cała ta ogromna masa ludzi poszła szeregami do ogromnej ruskiej bani. Zbyszek i ja znaleźliśmy się nagle w tłumie nagich ludzi. Szczególnie widok rozebranych kobiet, dorosłych lub starych, był dla nas szokujący.

Matka po pewnym czasie zapadła na krwawą dyzenterię. Wszystko wskazywało na to, że już się ze swej przyczyny nie podniesie. Wtedy pewien zamożny Poleszuk oświadczył:

— *Zoja, ja ciebie wyleczu.*

I rozpoczął kurację. Miał ze sobą pojemnik samogonu (siedemdziesiąt czy więcej procent) oraz beczułkę zasolonej słoniny – bo chłopci polescy zimą przechowywali słoninę w beczułkach. Taka słonina zwykle była żółta, ale nie zepsuta. Więc ów Poleszuk nalał matce kubeczek samogonu. Ona to posłusznie jednym duszkiem wypila. Poleszuk podał jej z kolei plaster jelkiej słoniny. Kazał to zjeść na zakąskę, żeby jakoś okryć żołądek. Matka nie miała wyboru, bo o żadnym lekarzu w transporcie nie słyszano. Po paru godzinach Poleszuk powtórzył zabieg. O dziwo, już następnego dnia mama poczuła się lepiej. Przez jakiś czas była bardzo słaba, ale stopniowo dochodziła do siebie. Spirytus wypalił zarazki. Powoli zaczęła się podnosić.

Babcia Lucyna bardzo ją wspomagała. One się zawsze wzajemnie mocno wspierały, choć Lucyna była przecież tylko macochą matki. Natomiast ja i Zbyszek cały czas byliśmy w szoku. Ja wtedy miałem mniej niż siedem lat, Zbyszek niecałe dziewięć. Pytaliśmy dorosłych: — Co się dzieje? Gdzie nas wiozą? Gdzie jest dziadek? Co się z nami stanie?

Kobiety nas pocieszały. Obie były bardzo religijne i modliły się wiele. Odmawiały różaniec oraz rozmaite litanie. Zachęcały i nas, żeby się z nimi modlić. Zresztą cały wagon się modlił. Poleszcy to unicy, ale my jeszcze w Torokaniu często chodziliśmy do cerkwi, tak że *pop* i *popadia* byli naszymi klechami. W wagonie byli też oczywiście katolicy oraz dwie lub trzy rodziny żydowskie. Modlono się zbiorowo.

*

Po kilku tygodniach dojechaliśmy do miasta rejonowego Szortandy w *akmoliń-*



Strona adresowa listu Zofii, wysłanego z Kazachstanu do męża uwięzionego w niemieckim Oflagu

skiej obłasti² (obwód akmoliński). Było to sławne miasto. Chruszczow jeździł tam, by zaszczyć uprawianie kukurydzy, również Breżniew odwiedzał Szortandy. Miasto i dziś jest znane, posiada jakieś instytuty kulturalne, cuda i luda. Nas w każdym razie wylądowano bardzo „kulturalnie”, czyli na ciężarówce – ponieważ transport na zaplecze jeszcze się poruszał, to znaczy do czasu wybuchu wojny Sowieców z Niemcami w czterdziestym pierwszym roku.

Zawieziono nas do sowchozu, co w tamtych warunkach było uśmiechem losu. SOV-choz, czyli *savietskaje chazjajstwo*, był teoretycznie samorządowy. Oczywiście, tam żadnego samorządu nie było, ale można to określić jako przedsiębiorstwo państwowe. Na jego czele stał dyrektor wybierany przez państwo. Różnica pomiędzy kołchozami a sowchozami polegała na tym, że sowchoz zatrudniał robotników, którym miał obowiązek płacić, choćby przydziałami chleba. Natomiast w kołchozach, jako rzekomo „dobrowolnych” (w rzeczywistości przymusowych) spółdzielniach produkcyjnych rolników – czyli kolektywach w najgorszym tego słowa znaczeniu – żadnego obowiązku płacenia nie było. Teoretycznie, jeśli kołchoźnicy wygenerowali zyski, to się nimi dzielili. Najczęściej jednak zysków nie było i dzielić się nie było czym. Gdy przychodziły ciężkie czasy, we wszystkich kołchozach panował głód.

Sowchoz, do którego nas przywieziono – w dwóch o ile pamiętam ciężarówkach, wypełnionych po kres – nazywał się po kazachsku Kazcyk. Znajdował się trzydzieści parę kilometrów w step od Szortandy. Na pierwszy rzut oka wydawał się zaplanowany według wszelkich wymagań *modern*. Był tam radiowęzeł, elektrownia z generatorem

na diesel, szpitalik, duża łaźnia. Ale budownictwo okazało się bardzo tandetne. Domy – głównie czworaki oraz kilka budynków biurowych – wznoszono z faszyny, czyli mat ze zwijanych gałęzi. Ściany z takiej faszyny tynkowano. Trochę to mało jak na klimat, w którym lata są upalne, a zimą temperatury dochodzą do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Samo usytuowanie sowchozu nie było aż tak strasznie „kazachstańskie”. Owszem, był niezmierny step, ale daleko. Na uboczu znajdował się staw. Od południa i od wschodu były lasy – sosnowy, mieszany, oraz brzeziniak – co było niezwykle ważne, bo w lasach można było zbierać grzyby, przeważnie białe *gruzdi*, czyli groździe; a zimą podkładać drewno do palenia w piecach. Po stronie zachodniej widniały lepianki kazachskiego aułu.

Wysypano nas z ciężarówek. Teraz pytanie, co zrobić z tylu ludźmi. Kilka pierwszych nocy spędziliśmy w pokoju miejscowego radiowęzła, wielkim jak sala koncertowa. Leżeliśmy jeden przy drugim, ponad dwadzieścia osób. Rychło okazało się, że w faszynie gnieździ się robactwo. Noce były nie do wytrzymania, byliśmy całkowicie oblezieni, szczególnie przez pluskwy. Wychodziliśmy na zewnątrz, pościel wynosiło się, umieszczało na słońcu...

Zacząły się chodzenia do pracy. Część kobiet szła, część nie. Te, które zostawały, dosyć szybko zaczęły wariować z powodu braku seksu. Z wielką trudnością znosiły odosobnienie od mężczyzn. Widywaliśmy sceny masturbacji, bardzo przykre. Mama, jak tylko otrząsnęła się już troszeczkę z dyzenterii, musiała iść do pracy. Wybrała zawód traktorzystki. Traktory też były na licencji Forda, na zębatych kołach, strasznie trzęsące. Więc mama przez jakiś czas

pracowała na traktorze. Ale mieliśmy wielkie szczęście. Okazało się, że w szpitaliku pracuje przedwojenna dyplomowana pielęgniarka, pani Wanda Naumowa – którą nawiasem mówiąc spotkaliśmy po latach w Olsztynie. Otóż pani Naumowa zaproponowała mamie pracę w szpitalu, wraz z przyuczeniem do zawodu pielęgniarki. Rzecz jasna, mama z jej propozycji skwapliwie skorzystała.

Po pewnym czasie przydzielono nas do jednego z czworaków. W pokoju, w którym mieszkaliśmy, były cztery ściany i trzy wyrka. My z bratem spaliśmy na jednym łóżku, kobiety na innym. Dodatkowo dokwaterowano do nas inwalidę wojennego bez nogi. Ów facet często wstawał w nocy i czochrał się plecami o ścianę. Pewnego razu zostałem z nim sam w czworakach. Obudziłem się i widzę, że od jego wyrka ciągnie w moją stronę po podłodze jakaś czarna fala. Bardzo pomalutku zbliża się do mnie. Patrząc bliżej – a to wszy przetaczają się w moją stronę w poszukiwaniu nowego pożywienia. Narobiłem strasznego wrzasku. Wezwano babcię, która przybiegła, popatrzyła – i popędziła do szpitala po środki sanitarne, żeby robactwo powytruwać. W efekcie przeniesiono nas do innego czworaku.

Mama musiała otrzymać całkiem dobre przeszkolenie w owym szpitaliku, bo po pewnym czasie dostała pracę kierowniczkę *medpunkta* w kopalni złota Żołombek, która znajdowała się kilkanaście kilometrów w step, na północ od Kaz-cyka. Mama pojechała tam, a myśmy zostali. Przez jakiś czas skrzyniowe ciężarówki woziły po bitej szosie z Szortandy do Żołombeka rudę złota. Zbyszek i ja wychodziliśmy na szosę, by zbierać jej okruszynki. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej ciężarówki przestały jeździć. Cały transport poszedł na front.

Źródła: nagrania i dokumenty pozostawione przez Bohdana Kurowskiego
Spisanie oraz redakcja tekstu:
dr Joanna Kurowska

1. Zsyłka w kwietniu 1940 roku była drugą z czterech masowych deportacji w głąb ZSRR dokonanych na obywatelach polskich przez władze sowieckie. Pierwsza miała miejsce w lutym 1940 i objęła głównie mężczyzn reprezentujących elity społeczne – wojskowych, inteligencję, kler, posiadaczy majątku oraz właścicieli ziemskich (łącznie z zamożniejszym chłopstwem) – słowem ludzi, którzy mogli stwarzać ogniska tożsamości narodowej czy oporu wobec zaborcy. Ci, którzy przeżyli lutowy transport najczęściej lądowali w gułagach. Tak stało się z Czesławem Dąbrowskim, dziadkiem Bohdana Kurowskiego. Natomiast deportacja kwietniowa objęła przeważnie rodziny mężczyzn wywiezionych w lutym. (Przp. JK).

2. Nazwa Akmolińsk pochodzi od *ak-mo-la*; *Akma* to po kozacku „biała mogiła”. Prezydent Nazarbajew przeniósł stolicę Kazachstanu z gorącej, tropikalnej Ałma-aty, do Akmolińska, obecnej Astany.